

Ciąg dalszy artykułu z Nr. 14 „ŻYLI DLA SIEBIE”...

Ada Zasadzianka i Zdzisław Relski

Z wielkim wzruszeniem i uczuciem żalu przeczytałem artykuł p. Katarzyny Stróżyk „Tylko dla siebie...” – żalu, że tak mało zostało w pamięci po parze aktorów, którzy tak wiele wnieśli do teatru. Postanowiłem „poszperać” w dostępnych mi materiałach, żeby uzupełnić ich dane o garść informacji.

Zdzisław Relski urodził się 11.05.1903 roku w Wiedniu. Debiutował w sezonie 1923/24 w teatrze Bagatela w Krakowie. W 1938 roku widziałem Go w „Szelmostwach Skapena” Moliera. Był to spektakl teatru Comoedia (dyr. E. Poreda) zrzeszonego w TKKT. „Szelmostwa” grane były w naszej szkole (ulica Szeroka na Pradze), która dysponowała aulą ze sceną. Potem zobaczyłem Go dopiero po wojnie w Poznaniu, na scenach Teatru Letniego (przemianowanego później na Komedię Muzyczną) i Nowego. Udało mi się przypomnieć sobie (i ustalić dzięki posiadanym przeze mnie materiałom), w jakich sztukach i, niekiedy nawet, w jakich rolach podziwiać mogła Relskiego poznańska publiczność: „Moja siostra i ja” (Hipolit Lubyk), „Wesele Figara” (Gąska), „Sługa don Kichota” (Aptekarz), „Podwójna buchalteria” (Cankiewicz), „Pani Prezesowa” (Cyprian Daudet), „Król Włóczęgow” (Ludwik XI), „Jaś u rajy bram” (Sędzia), „Dzień bez kłamstwa”, „Nitouche”, „Kariera panny Mary”, „Faryzeusz i grzesznik”, „Zapora”, „Ja tu rządzę”, „Zielony Gil”.

Po fuzji teatrów poznańskich grał również w Teatrze Polskim, w spektaklach: „Pugaczow”, „Strzały na ulicy Długiej”, „Krzyk jarzębiny”, „Lubow Jarowaja”, „Zwykła sprawa”.

O Adzie (Adelina, Gertruda Zasada) Zasadziance wiemy więcej. Jak podaje Słownik Biograficzny Teatru Polskiego (tom II) urodziła się 10.03.1913 roku w Berlinie. Od 1919 roku mieszka w Poznaniu. Maturę zdaje we Włocławku. W 1931 roku angażuje się do Teatru Nowego w Poznaniu. W sezonach 1932/37

jest aktorką poznańskiego Teatru Polskiego. Równocześnie współpracuje z kabeletami „Różowa Kukułka” i „Klub Szyderców Pod Kaktusem”. Według T.H. Nowaka była „wyjątkowo ciekawą odtwórczynią satyr, grotesek, ballad i fraszek” w kabeletach.



W teatrze grała dużo i często główne role: „Cyd” (Eleonora), „Wieczór Trzech Króli” (Viola), „Nitouche” (Korynna), „Podwójna buchalteria” (Zuzanna), o której to roli w krakowskim tygodniku ilustrowanym „As” (nr 32 z 27.12.1936), w rubryce „Na scenie” napisano: „W Poznaniu warto w Teatrze Polskim oglądać komedię muzyczną »Podwójna buchalteria«, w której świetnie główną rolę Zuzanny gra uroczą Ada Zasadzianka.” Należy jeszcze przypomnieć, że grała w „Nowym Don Kichocie czyli stu szaleństwach” (1935), czy w „Z miłości niedostatecznie” (1936). A przecież jest to tylko kilka spośród Jej ról.

W sezonach 1937–39 jest aktorką Teatrów Miejskich w Łodzi. W 1939 poślubia Juliana Nowomiejskiego, dyrektora kina i agencji koncertowej w Poznaniu.

W 1945 roku Ada Zasadzianka i Zdzisław Relski angażują się do Poznania, do

dyrektora Szczerbowskiego (Teatr Nowy i Letni – później Komedja Muzyczna). Zasadzianka gra bardzo dużo i przeważnie liczące się role: w „Rozkosznej dziewczynie” (Krystyna), w „Weselu Figara” (hrabina Almaviva), w „Kapryсах Marianny” (Marianna), w „Żołnierzu Królowej Madagaskaru (Sabina), w „Mojej żonie Penelopie” (Penelopa), w operetce „Księżniczka Czardaszka” (hrabianka Stasia). W tej ostatniej realizacji jej partnerami byli

Jadwiga Kenda – primadonna Operetki Łódzkiej, Mieczysław Wojnicki (podkupiony Operze poznańskiej) i Michał Ślaski.

Dorównać partnerom głosowo nie było łatwo. Dorównała. Delikatny sopranik w duetach ze Ślaskim odejmował Jej co najmniej 12 lat. Była młodzietką dziewczyną. Można ich było „jeść łyżkami”.

W trakcie „Czardaszki” nawiązały się nieporozumienia między dyrektorem i orkiestrą. W efekcie zapadła decyzja, że akompaniować będą dwa fortepiany (de facto pianina). W ten sposób w listopadzie 1947 roku zostałem zaangażowany jako drugi pianista. Kierownikiem muzycznym był Stanisław Szarmach (pianista z orkiestry, student IV roku medycyny). Pikanterii tej sytuacji dodawał fakt, że ja studiowałem na II roku stomatologii.

Byłem przeschczęśliwy. Nareszcie praca w teatrze. Zaczęły się próby „Jasia u rajy bram”. Rolę Glorii Mill grała Zosia Jamry, a Zasadzianka – Basię. Ponieważ w pierwszym okresie prób zmienialiśmy się ze Staszkiem, doszło do śpięcia między mną i Jamry. Zagrałem wstęp do jej piosenki, tak jak go zwykle grałem. Jamry stwierdziła, że nie tak gram, że wstęp jest inny. Pytam, jaki. Nie umie wyjaśnić. Włączyła się w ten spór Zasadzianka – „Daj spokój, zacznij piosenkę bez wstępu. Wczoraj nie było na próbie pana Zbyszka, a zmianę ustaliliście oboje z panem Staszkiem”. Pomogło. Pani Ada do nas, żółtodziobów teatralnych, miała bardzo ciepły stosunek.

W „Jasiu...” Zasadzianka i Waclaw Zwoliński śpiewali piosenkę kończącą się



A. Zasadzianka, R. Zawistowski, „Piosenka o Nadinie” Jana Letraza, Teatr Polski, Poznań, 1936 r.

„nachtanem” (ewolucja taneczna na zakończenie). Zakończeniem ewolucji był upadek. Pani Ada miała śliczną seledynową suknię z dużym dekoltem na plecach, trzymającą się na ramiączku na szyi.

Na premierze, po upadku wysunęła się jedna pierś Zasadzianki (daję słowo,

że bardzo ładna), na następnym spektaklu – kawałek drugiej. Ponieważ sytuacja powtarzała się, koledzy zaczęli robić zakłady o to, którą pierś zobaczy publiczność. Największe rozczarowanie było wtedy, kiedy po kilkunastu dniach aktorzy doprowadzili upadek do takiej perfekcji, że piersi nie było już widać. A może pomogła krawcowa?

Zasadzianka miała aparycję amerykańskich gwiazd filmowych. Wysoka, bardzo zgrabna rudawa blondynka z urzekającym uśmiechem, zawsze elegancko ubrana, „narzucała” szacunek dla siebie, ale z takim wdziękiem, że nie było w tym nic obraźliwego.

Ubóstwiałem perlisty śmiech pani Ady. Przypominał dzwoneczki. Jeżeli nie brała udziału w przedstawieniu i przychodziła na widownię, swoim śmiechem rozbawiała publiczność, ale równocześnie „gotowała” kolegów.

Kiedy przed spektaklem wpadała do garderoby i mówiła, że będzie na widowni, natychmiast padały pytania:

– Widziałas w „Bałtyku”, Upiora w operze”? Słuchaj, Nelson Eddy jest znakomity. Po co masz kolejny raz oglądać to samo! Masz tu na kino. Fundujemy ci! (Za każdym razem był to inny, aktualnie grany film.)

– A może poszłabyś na kawę? U Kraka jest tak przyjemnie...

Po „Jasiu...” współpracowaliśmy przy kilku innych spektaklach, między innymi w „Dniu bez kłamstwa”.

Grała bardzo dużo. Podejrzewam, że brała też udział w przedstawieniach, z których nie zachowały się programy.

Była Panną de Rosieres w „Lecie w Nohant”, Leonardą w „Pieczarach Salaman-



A. Zasadzianka, „Podwójna buchalteria”, 1936 r.

Zasadzianka miała aparycję amerykańskich gwiazd filmowych. Wysoka, bardzo zgrabna rudawa blondynka z urzekającym uśmiechem...

ki”, Laurą w „Ja tu rządzę”, Wandą w „Wczoraj i przedwczoraj”, Miss Roberts w „Zwykłej sprawie”, Melanią w „Jadzi wdowie”, Heleną w „Mieszczanach”, Miss Arabellą w „Kandydacie”, Grisi w „Pieśni miłosnej”, Rosaurą w „Sprytniej wdówie”, Izabellą w „Angelicę”, Baronową w „Maskaradzie”, Lemańską w „Odwetach”. Zagrała też rolę tytułową w „Madame Sans Gene”.

Bardzo żałuję, że żadnej z ról Zasadzianki nie utrwalono na taśmie filmowej. Pozostało tylko trochę recenzji i zdjęć. A szkoda...

Zbigniew Rymarz



A. Zasadzianka, „Podwójna buchalteria”, 1936 r.

Jolanta Gall-Michalewicz

Jolę poznałem w 1952 roku przez Jurka Pietraszkiewicza i Witka Grucę. Była ich sąsiadką. Oni mieszkali na Szczuczyńskiej 7, ona na Paryskiej 33. Powiedzieli, że muszę poznać Jolę, bo to wspaniała dziewczyna.

– Jest aktorką, gra dla dzieci w „Baju” i moglibyście razem coś zrobić.

Przedstawili mnie bardzo zgrabnej, pełnej wdzięku rudoblonde dziewczynie z seksem i wielkim poczuciem humoru.

Po kilku spotkaniach mieliśmy już skryształizowane plany. Jurek Michalewicz, mąż Joli, był nastawiony sceptycznie, ale my po kilku tygodniach daliśmy premierę programu szkolnego „Zaczarowany tornister”. Dołączyła do nas Terenia Mielczarek (później Brzostowska). Program oparty był na tekstach Benedykta Herza i bardzo podobał się w szkołach. Jola marzyła o własnym teatrzyku dla przedszkolaków i... po kolejnych kilku miesiącach ruszył „Teatrzyk Przedszkolaczek”. Pierwszą bajkę napisał pan Czesław Janczarski, a jej bohaterami byli Jacek Przedszkolaczek i Miś Uszatek. Przedstawienie trwało 20 minut i kończyło się zabawą z dziećmi. I znowu wzięliśmy szturmem przedszkola. Nasze programy poruszały problemy wychowawcze podane w zabawnej formie, a więc łatwo przyswajanej przez dzieci.

W bardzo krótkim czasie „Ciocia Jola”, bo pod takim pseudonimem występowała dla przedszkolaków, stała się „ich ciocią”, ich bożyszczem, pupilką kierowniczek i wychowawczyń w przedszkolach, gdzie na przyjazd „Cioci Joli” czekały kawy, herbaty, a często świeżo upieczone ciasto.

Równoległe z nowymi premierami w przedszkolach powstawały kolejne programy szkolne (grane nie tylko w Warszawie): „Podróż po Polsce”, „Tuwim dzieciom”, „Brzechwa dzieciom” i „Przyjeżdż, mamo, na przysięgę” (z udziałem Jolanty Gall, Teresy Brzostowskiej, Krystyny Królikiewicz, Alicji Wolskiej i Zbigniewa Rymarza), a w przedszkolach – oprócz już wymienionych występowały Basia Skokowska i Marysia Mikułowska. Jeżeli potrzebny był akordeon, grała p. S. Chlebowska.

Nikt z nas nie miał auta, a nie było wtedy radio-taxi, więc zdają sobie Państwo sprawę, jak trudno było przemieścić się

z koncertu na koncert mając dekoracje i rekwizyty.

Ale to było nieważne, bo dzieci czekały na nas i nas kochały.

Kiedyś graliśmy w przedszkolu na Saskiej Kępie. Pani kierowniczką prosiła, abyśmy opóźnili rozpoczęcie przedstawienia, bo ma być pani Gomułkowa z wnuczką. Czekamy. Od trzydziestu mi-



J. Gall-Michalewicz

nut dzieci siedzą na widowni i zaczynają już „rozrabiać”. Jeżeli opóźnienie się przedłuży, to spóźnimy się do następnego przedszkola i zdeorganizujemy im życie. Zaczynamy. Pod koniec prologu wchodzi pani Gomułkowa z wnuczką. Wszystkie dzieci zwracają się w ich kierunku. Jola

pyta (z wściekłością): „Czy pani zawsze przychodzi do teatru, kiedy się pani podoba? Zepsuła pani dzieciom przedstawienie” (de facto zawiniła Jola, bo mogła śpiewać dalej). Po 20 minutach kończy się spektakl. Jola ustawia dzieci do wspólnej zabawy. Chce wciągnąć do zabawy także wnuczkę p. Gomułkowej, ale mała uczepliła się kolan babci. Jola tylko na to czekała: „Kto tak chowa dzieci! Chodziłaby do przedszkola, jak inne, a tak to rośnie dzikie dziecko”.

Wystraszona pani kierowniczką ledwo nas pożegnała. Wychodząc mówię do Joli: „To jedno przedszkole mamy już z głowy”. Jola wróciła do domu ok. 16-tej. Telefon. Odzywa się pani kierowniczką: „Ciociu Jolu, pani Gomułkowa jest panią zachwycona, powiedziała, że nareszcie ktoś miał odwagę powiedzieć jej prawdę”.

Oprócz spektakli przedszkolnych i szkolnych braliśmy udział w koncertach dla dzieci organizowanych przez Wydział Kultury i Artos (potem Estradę). Przed koncertem Mikołajkowym w garnizonowym kinie „Klub” wszedł do garderoby pan kapitan.

– Kto prowadzi program?

– Ja – odparła Jola.

– Chciałem pani powiedzieć, że u nas nie ma żadnego Świętego Mikołaja, tylko Dziadek Mróz!

– Bardzo proszę. Nasz klient, nasz pan.

Jola zwraca się do Kazia Janusza, który grał Mikołaja:

– Kaziu, pilnuj się, bo wypadają moje i twoje piosenki „mikołajowe”.

– Dobrze.

Koncert ma wartkie tempo, dzieci świetnie się bawią. Zbliża się koniec. Jola wchodzi i pyta dzieci:

– Powiedzcie mi, na kogo czekamy?

– Na Świętego Mikołaja – odpowiada cała sala.

Jola popatrzyła na kapitana, który siedział w środku pierwszego rzędu.

– Ja tego nie powiedziałam.

Kapitan zaczął się śmiać i napięcie zostało rozładowane.

W latach sześćdziesiątych Express Wieczorny i Estrada organizowały w czasie świąt Bożego Narodzenia, Nowego Roku i Dnia Dziecka masowe imprezy w Sali Kongresowej. Przez długi czas imprezy te prowadziła Jola. Impreza pierw-

szego czerwca. Jola wchodziła z małym lwiątkiem. W pewnym momencie lwiątko załatwiło swoje potrzeby na suknię Joli, która z uśmiechem skwitowała to wydarzenie: „Jak widać, ten lew jest żywy”. Ołbrzymie brawa, a w czasie przerwy trzeba było oczyścić przód sukni.

Kiedy przy Teatrze Satyryków powstała scena dziecięca „Kleks”, Jola została zaangażowana jako aktorka i konferansjerka. Potem występowała w Syrenie, w komediach muzycznych Odrowąża i Machana „Niezwykła przygoda” i „Atomowy rower”, później w tych samych sztukach w Estradzie Wojewódzkiej, współpracowała też z teatrem Komedia i Fraszką, której dyrektorem był Henryk Pijanowski. Wynajmowałem wtedy pokój na Jaracza. Któregoś dnia moja gospodyni mówi, że był do mnie telefon.

– Nie pamiętam, kto dzwonił... Zaraz, zaraz... już wiem. Pan Pijackiewicz.

– Może były dwa telefony. Jeden od pana Raczkiewicza, a drugi od Pijanowskiego?

– Tak, rzeczywiście.

Od tej pory mówiliśmy „dyrektor Pijackiewicz z teatru „Flaszka”. Mogliśmy tak żartować, bo Henio nie pił.

W 1962 roku otworzyliśmy z Jolą teatr „Wiercipięta”. Pierwszy program zrobiliśmy za własne pieniądze. Pomogli nam bezinteresownie Nata Lerska (choreografia) i Edzio Kougan (scenografia). Program nazywał się „Stońce woła nas”. Na jednym ze spektakli był ze szkołą syn dr Jerzego Wołczyka (chyba wiceprzewodniczącego Rady Narodowej). Chłopiec był zachwycony spektaklem. Dr Wołczyk zainteresował się naszą działalnością i drugą premierę „Chcemy być dorośli” (reż. B. Fijewska) sfinansowała Stołeczna Estrada.

Któregoś dnia nasz spektakl obejrzała Xenia Grey i przyszła do nas za kulisy z pytaniem, czy możemy dać jej egzemplarz, bo chciałyby to wystawić w Operetce Lubelskiej. Jola, która prowadziła konferansjerkę, grała w skeczach matkę i nauczycielkę, a także śpiewała piosenki w kontakcie z dziecięcą publicznością, powiedziała:

– To pani będzie robiła to, co ja.

– Gdzie tam, ja chcę robić jedną z tych dziewczynek.

Xenia miała wtedy 60 lat. Lublin tego programu nie wystawił.

Jola nigdy nie ukrywała swego wieku, ale kiedy nasz kolega Mirek Klonowicz, młody i przystojny śpiewający instruktor

plywania wypisywał nam karty pływackie, spytał nas o daty urodzenia, podałem swoją.

– A twoja, Jolu?

Podała miejsce, dzień, miesiąc... popatrzyła na mnie błagalnie, więc dorzuciłem.

– 1929.

Po południu, w garderobie rozmawiamy przed spektaklem. Z jakiegoś powodu zgadało się o datach urodzenia. Jola podała 1929 rok. Po kilku minutach temat zmienił się i Jola mówi:

– Wiecie, bo kiedy ja przed wojną pojechałam po maturze z koleżankami do Wiednia...

– To ty robiłaś maturę w przedszkolu?

Jola ze śmiechem opowiedziała historię zmiany daty urodzenia.

Na zaproszenie Zdzisława Dencikowskiego z Estrady Bałtyckiej graliśmy nasze koncerty szkolne na Wybrzeżu. Mieszkaliśmy w Grand Hotelu, wstawaliśmy o 6-tej rano, bo przeciętnie mieliśmy po 4–5 koncertów dziennie (z przejazdami do różnych szkół). Jola i Krysia Królikiewicz miały wspólny pokój. Wieczorem szykowały kanapki na rano, herbatę w termosach i kładły się spać około 22-giej. Budziła nas recepcja. Jola zaczynała dzień od śniadania, więc kiedy zadzwonił telefon zerwała się, nalała herbatę i zaczęła zjadać kanapki. Telefon był do Krysi.

– Skąd ty dzwoniisz tak rano? Byliście po przedstawieniu na jakiś szaleństwach?

– Jakie rano?

– No przecież Jola je śniadanie.

– Czy wyście się upili? Popatrz na zegarek, jest jedenasta w nocy!

Jola skończyła śniadanie i poszła spać.

Kiedyś mieliśmy koncert w wiejskiej szkole. Odbывał się w klasie. Dzieci były znakomicie przygotowane, a odpowiedziami na zagadki o Warszawie zaimponowały nam. Zwykle po dwóch koncertach mieliśmy półtoragodzinną przerwę. Jeżeli byliśmy w Gdyni, jechaliśmy do baru PGR „Kosakowo” na pyszną kawę, znakomite kanapki i wspaniałe ciasta. Jola wprawdzie miała się odchudzać, ale było to ponad jej siły. Kiedy wracaliśmy z tej wyprawy, do naszych osobistych bagaży, oraz desek z planszami i futerału ze stojakiem, doszedł mój czerwony dywan. W Warszawie nie było nigdzie tego koloru, za to mnóstwo chabrowych. Mieszkańcy Trójmiasta przywozili chabrowe z Warszawy. Na dworzec dotarliśmy prosto z koncertu w ostatniej chwili i nie by-

ło czasu na nadanie bagaży. Kiedy przyszedł konduktor i zobaczył w korytarzu nasz dobytek, spytał, dlaczego nie został on nadany na bagaż. Jola i Krysia (dwie bardzo eleganckie panie) tłumaczyły:

– Wie pan, bo my jesteśmy taka trupa, co rozkłada dywan, gdzie popadnie i występujemy! Możemy zaraz rozłożyć...

Zaczął się śmiać.

– Dobrze, niech zostanie.

Przez kilka lat Jola prowadziła w Parku na Zdrowiu w Łodzi kiermasz książki. Później, nie pamiętam już kiedy,



J. Gall-Michalewicz i Zb. Rymarz, kiermasz książki, Park, Łódź

doستاła propozycję poprowadzenia kiermaszów w Trójmieście. Po kiermaszach planowała urlop w Ciechocinku. Ponieważ ja chciałem odpocząć przed wyjazdem do Paryża, zdecydowaliśmy, że pojedziemy razem na 10 dni do Ciechocinka, wyskoczmy do Trójmiasta na okres kier-

Jolanta Gall-Michalewicz

► maszów i wrócimy – ja jeszcze na 5–6 dni, a Jola pozostanie w Ciechocinku do końca urlopu. Moja rodzina wiedziała o naszych planach przyjazdu po kiermaszach. Ucieszyli się, że będziemy wcześniej. Jedyne kłopot: gospoia ma urlop i obiady przynoszą sobie z sanatorium. Uznaliśmy, że nie ma problemu, bo jest tyle miejsc, gdzie wydają obiady domowe. Wybraliśmy miejsce, w którym stoły były ustawione w ogrodzie. Kuchnia znakomita. Jola przedstawiała mnie jako syna (musiałaby mnie urodzić w wieku 9–10 lat!), co wywoływało dwuznaczne uśmiešky, lub żartobliwe komentarze. Na moje „przestań” nie reagowała. Któregoś dnia, jedyne wolne miejsca były obok samotnego starszego pana. Jola zagaiła rozmowę:



J. Gall-Michalewicz, Teatr Wiercpięta

– Czy pan ma dzieci? Bo, wie pan, małe dzieci, to małe zmartwienia. Gorzej z dużymi. O, na przykład, mój syn. W głowie tylko muzyka i muzyka, a matematyki nie chce się uczyć. Tak jest, jak samotna matka wychowuje dzieci, bo tatusia to my nie mamy.

Spezony pan nie dokończył drugiego dania i szybko uciekł.

Rano chodziliśmy na basen. Jola na solarium damskie, ja na męskie. Po godzinie spotykaliśmy się. Runda, lub dwie wokół basenu, jakaś kawa w bufecie, czy loddy. Pewnego dnia Jola spotkała swoją gimnazjalną koleżankę. Pani zobaczyła ją, zaczęła machać, więc Jola zamiast na so-

larium podeszła do niej. Jak opowiadała: „przywitałyśmy się, przedstawiła mi młodego człowieka. Siadłam na brzegu koca.

Koleżanka – Tak się cieszę, żeśmy się spotkały. To już tyle lat!

Jola – A pamiętasz, jak przed wojną, po maturze pojechałyśmy do Wiednia?

... trąca mnie nogą, więc jej mówię – co mnie kopiesz, przecież siedzę na brzeżku koca – i kontynuuję o Wiedniu. Zmieniła temat. Pożegnała mnie chłodno.

Następnego dnia wchodzimy na basen, a koleżanka Joli zwiija koc i ucieka w inne miejsce.

Któregoś ranka wstajemy, a tu leje. Jola ma zaplanowane dwie wizyty u lekarzy, kosmetyczkę i jakieś zakupy. W domu nie ma parasolek, bo wzięły je siostrzen-

ca, siostrzeniec i ja, kiedy szedłem na zabiegi. Szwagier też miał jakieś wyjście, więc nie mógł dać Joli swojego parasola, ale coś sobie przypomniał.

– Wiesz, Jolu, na strychu jest stara parasolka babci. Pójdę, jeżeli jest w dobrym stanie, to ją weźmiesz.

Wzięła. Po kilku godzinach wraca z pięknym nowym parasolem.

– Co to za parasol?

Popatrzyła.

– Rzeczywiście inny. Ale gdzie ja go zamieniłam?

Po dwóch dniach poprawiła się pogoda. Wybieramy się na basen. Szwagier mówi do Joli:

– Jolciu, na strychu jest stary siennik, to może być go wzięła i przyniosła z basenu dmuchany materac!

Ciechocinek był wtedy znakomitym kurortem. Do tego codziennie inny spektakl teatralny, lub estradowy. Plejada wspaniałych artystów w parku, na basenie, pod tężniami. W ogródku kawiarni „Orbis” rozsiadły się po dwóch stronach czerwonego chodnika dwie antagonistki, Stanisława Perzanowska i Jadwiga Chojnacka. Grupa Perzanowskiej głośno komplementuje panią Stanisławę.

– Takiej mistrzyni jak nasza majstrowa nie ma na świecie.

– E, żadna nie dorówna, bo gdzie znaleźć tak genialnego reżysera i tak cudownego człowieka.

Grupa Chojnackiej usiłuje dorównać. Nie jest w stanie! Jola podnosi rękę Perzanowskiej i całuje: „Moja najukochańsza majstrowo!” Chojnacka opuszcza lokal. 1:0 dla Perzanowskiej.

Jedziemy do Trójmiasta. Kilka cudownych dni. Koncerty ściągają tłumy, dzieciaki szaleją. Jola jest niemal noszona na rękach. Spacery po moło. Młodzi ludzie oglądają się za Jolą, więc mówię głośno:

– Mama, długo będziemy tak chodzić? To nudne.

– Przestań!

– Sama chciałaś.

Wracamy. Wsiadamy w Gdyni do pociągu. Jest jeszcze pusty. Jola mówi:

– Udawaj wariata, to może nikt nie wejdzie.

– Nie uwierzą. Przydałoby się płaczące dziecko.

Jola z jasnego płaszcza robi becik i płacze, aż się zanosi. Ludzie otwierają drzwi. Mówię:

– Ucisz wreszcie to dziecko.

– Nie mogę. Wiesz, że ma biegunkę.

Do Tczewa nikt do nas nie wszedł, ale tu zwiodło nas dobre samopoczucie. Zjawił się bardzo miły pan. Za nim kłębi się tłum. Wracamy do poprzedniej sceny, ale w końcu jedziemy we trójkę. Jola śpi na leżąco na jednej ławce, my w rogach drugiej. W Bydgoszczy otwierają się drzwi przedziału. Zionie alkoholem.

– Ja państwa bardzo przepraszam, najuprzejmiej przepraszam, ale czy tu są wolne miejsca?

Jola na pół rozbudzona:

– Są, są.

– Józiek, chodź tu, łachudro, mamy dwa miejsca. Ja państwa jeszcze raz pokornie przepraszam, że obudziłem. No, idziesz, łachmyto?

Przyszedł „łachmyta” i ta ilość odoru alkoholowego była nie do wytrzymania.

Jadwiga Kłósówna-Tamowicz

WŁAŚNIE MINĘŁA 90. ROCZNICA URODZIN JEDNEJ Z SOPRANISTEK POLSKICH, NASZEJ UROCZEJ KOLEŻANKI I WIELKIEJ ARTYSTKI.

Urodziła się w Łomży w rodzinie muzycznej. Jej ojciec był profesorem muzyki i śpiewu. Po ukończeniu gimnazjum zdała konkursowy egzamin do Konserwatorium Muzycznego w Warszawie, które ukończyła w 1939 roku. W czasie okupacji wyszła za mąż, mieszkając na Starówce wraz z rodziną przeszła okupacyjno-powstaniową gehennę.

Po wyzwoleniu rozpoczęła pracę jako śpiewaczka solistka w Orkiestrze Symfonicznej w Warszawie – przy ulicy Otwockiej, w Polskim Radiu – przy ulicy Targowej, a także w Teatryku Wróbelk Warszawski – przy ulicy Zygmuntowskiej. Była pierwszą solistką radiową, której audycje były nadawane przez megafony uliczne. Od 1946 roku pracowała jako śpiewaczka solistka w nowopowstałym Teatrze Operowym prowadzonym przez Poredę w Warszawie przy ulicy Marszałkowskiej, następnie w Państwowym Teatrze Opery i Baletu „ROMA” przy ulicy Nowogrodzkiej, oraz Państwowej Filharmonii i gościnnie w innych Operach. Od 1965 roku aż do przejścia na emeryturę pracowała w Operze Kameralnej w Warszawie.

Śpiewała pierwsze partie sopranowe w operach: „Halka” – Moniuszki, „Tosca” – Pucciniego, „Madame Butterfly” – Pucciniego, „Cztery Gbury” – Ferraviego, „Lohengrin” – Wagnera, „Aida” – Verdiego, „Straszny Dwór” – Moniuszki, „Goplana” – Żelińskiego, „Dama Pikowa” – Czajkowskiego, i wiele, wiele innych.

Zawsze miała bardzo dobre recenzje i zachwyty prasy, ale przede wszystkim widzów. Związek Artystów Scen Polskich, Przyjaciele, Koleżanki i Koledzy życzą Ci Droga nasza Jubilatko zdrowia i wielu lat życia oraz wszelkiej pomyślności.

Ryszarda Gozdowska



J. Kłósówna-Tamowicz, „Halka”, Warszawa 1972 r.

► Wyszliśmy na korytarz. Nasz pierwszy towarzysz podróży za nami.

– Państwo są aktorami.

– Nie.

– Nie uwierzę.

I do Aleksandrowa dotrzymywał nam towarzystwa.

W Ciechocinku seria kolejnych żartów. Hala, koleżanka siostry i moja – historyk sztuki – chciała wyjechać do Paryża. Mąż (doktor) nie zgadzał się. Jola zatelefonowała.

– Czy pan doktor?

– Tak.

– Czy pan wie, co może pana czekać?

Odśpiewała canto i refren „Słomiane-go wdowca” W. Stępnia.

...Tyle z żoną miałem kramu,

Bilet kup i przedział zamów,

Wreszcie pomóż jej się zapakować.

...a już w sercu słyszę taki śpiew:

Słomiany wdowiec

*Z promieniem słońca chodzi w buto-
nierce.*

*Słomiany wdowiec, słomiany wdowiec
Na oścież ma otwarte swoje serce.*

*...słomiany wdowiec, słomiany wdo-
wiec*

*Ze wszystkich ludzi najszcześniejszy
człek!*

– Kto mówi?

– Paacjentka!

I Halina pojechała.

Po tym telefonie Jola obdzwoniła kilku lekarzy śpiewając:

Na to jest Ciechocinek pełen słońca
i róż.

Z stukilowych dziewczynek Greta Gar-
bo i już.

Basen nam się uśmiecha, na pływalnię
wiąć w mig.

Kto o kulach przyjechał, ten wyjedzie
jak smyk.

– Ale kto dzwoni?

– Pana wierna pacjentka.

– Ale która?

– Blondynka! Doobranoc, doktorze!

Następnego dnia szwagier miał wspa-
niałą zabawę, bo do jego gabinetu w ap-
tece przychodzili lekarze i opowiadali
o tych telefonach. Biedny, musiał opano-
wywać się, by nie parsknąć śmiechem.

Po moim wyjeździe przyjechał Jurek
Michalewicz. Chodzili na obiady w te sa-
me miejsca i kiedy Jola przedstawiała go
„Mój mąż”, uśmiechy były bardziej dwu-
znaczne niż przy synu.

O Joli mógłbym napisać o wiele wię-
cej, bo to i kawiarnia „Nowy Świat” i Zielo-
ne przedstawienia, opieka z ramienia
SPATiF-u nad niemieckim reżyserem i bal
Telewizji w „Bristolu”, wreszcie kawiarnia
„Pod Gwiazdami”. Aż żal kończyć...

Zbigniew Rymarz

JUBILEUSZE

STYCZEŃ – MARZEC 2010

Drogie Koleżanki i Koledzy!

W imieniu własnym, jak też Związku Artystów Scen Polskich pragniemy wyrazić najserdeczniejsze gratulacje z okazji obchodzonych Jubileuszów pracy artystycznej, złożyć gorące podziękowania za wieloletnią działalność na scenach polskich, pracę artystyczną i pedagogiczną, wspaniałe kreacje. Życząc zdrowia, pomyślności, radości z nadchodzących dni pragniemy podziękować za Państwa pracę na rzecz Związku Artystów Scen Polskich.

Krzysztof Kumor – Prezes ZASP

Tomasz Grochoczyński – Przewodniczący Rady Programowej ZASP

65-lecie

PRACY ARTYSTYCZNEJ

- 1 stycznia** – Tadeusz Suchocki;
Sekcja Estrady
- 4 lutego** – Stanisława Łopuszańska-Ławska, *Zasłużony Członek ZASP*;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 6 lutego** – Andrzej Łapicki,
Zasłużony Członek ZASP;
Sekcja Teatrów Dramatycznych

60-lecie

PRACY ARTYSTYCZNEJ

- 1 stycznia** – Marcei Żędzianowski;
Sekcja Tańca i Baletu
- 21 stycznia** – Halina Dunajska-Łącz;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 21 stycznia** – Barbara Jurewicz;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 21 stycznia** – Ludmiła Łączyńska;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 21 stycznia** – Zofia Melechówna;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 21 stycznia** – Irena Remiszewska,
Zasłużony Członek ZASP;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 21 stycznia** – Janina Zakrzewska;
Sekcja Teatrów Dramatycznych

55-lecie

PRACY ARTYSTYCZNEJ

- 1 stycznia** – Jacek Fedorowicz;
Sekcja Estrady
- 1 stycznia** – Ryszard Ostromecki-
-Waldeck; Sekcja Teatrów
Dramatycznych
- 1 stycznia** – Janusz Sent;
Sekcja Estrady
- 1 stycznia** – Janina Szumna;
Sekcja Estrady
- 1 stycznia** – Liliana Urbańska;
Sekcja Estrady

24 lutego – Izabela Olszewska-Jurasz;
Sekcja Teatrów Dramatycznych

26 lutego – Janusz Dąbrowski,
Zasłużony Członek ZASP;
Sekcja Tańca i Baletu

23 marca – Tadeusz Wójcik;
Sekcja Teatrów Dramatycznych

50-lecie

PRACY ARTYSTYCZNEJ

- 1 stycznia** – Paweł Kochankiewicz;
Sekcja Estrady
- 1 stycznia** – Jan Pietrzak;
Sekcja Estrady
- 1 stycznia** – Rena Rolska,
Zasłużony Członek ZASP;
Sekcja Estrady
- 1 stycznia** – Janusz Wojtowicz;
Sekcja Estrady
- 16 stycznia** – Aleksandra Zawieruszanka;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 25 stycznia** – Aleksander Pestyk;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 4 lutego** – Alefytyna Gościmska;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 4 lutego** – Marta Szczepaniak;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 17 marca** – Jan Bleszyński
(reżyserskiej);
Sekcja Teatrów Dramatycznych

45-lecie

PRACY ARTYSTYCZNEJ

- 1 stycznia** – Monika Bończa-
-Tomaszewska;
Sekcja Estrady
- 1 stycznia** – Edward Hulewicz,
Zasłużony Członek ZASP;
Sekcja Estrady
- 1 stycznia** – Stefan Poźniak;
Sekcja Estrady
- 1 stycznia** – Ewa Złotowska;
Sekcja Reżyserów

15 stycznia – Władysław Żydlik,
Zasłużony Członek ZASP;
Sekcja Teatrów Muzycznych

22 stycznia – Jolanta Wołłejko;
Sekcja Teatrów Dramatycznych

30 stycznia – Krzysztof Kalczyński;
Sekcja Teatrów Dramatycznych

31 stycznia – Mieczysław Ostroróg;
Sekcja Teatrów Dramatycznych

31 stycznia – Barbara Sołtyś;
Sekcja Reżyserów

31 stycznia – Andrzej Zaorski;
Sekcja Teatrów Dramatycznych

1 marca – Romana Próchnica
(reżyserskiej);

Sekcja Teatrów Dramatycznych

40-lecie

PRACY ARTYSTYCZNEJ

- 1 stycznia** – Alicja Majewska;
Sekcja Estrady
- 1 stycznia** – Stanisław Wielanek;
Sekcja Estrady
- 15 stycznia** – Izabella Dziarska;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 31 stycznia** – Izabella Olejnik;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 14 marca** – Zbigniew Lesień;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 20 marca** – Jacek Andrucki;
Sekcja Reżyserów
- 20 marca** – Teresa Makarska;
Sekcja Teatrów Dramatycznych

35-lecie

PRACY ARTYSTYCZNEJ

- 12 stycznia** – Małgorzata Rożniatowska;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 12 stycznia** – Zdzisława Wilkówna;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 25 stycznia** – Mariusz Benoit;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 1 lutego** – Łucja Żarnecka;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 8 lutego** – Teresa Czarska-Sopoćko
(scenograficznej);
Sekcja Scenografów
- 23 lutego** – Lech Wierzbowski;
Sekcja Teatrów Muzycznych
- 22 marca** – Andrzej Walden
(reżyserskiej);
Sekcja Reżyserów
- 23 marca** – Bożena Porzyńska;
Sekcja Teatrów Muzycznych
- 27 marca** – Krzysztof Rysiak;
Sekcja Teatrów Dramatycznych
- 31 marca** – Bogdan Kuczkowski;
Sekcja Teatrów Lalkowych

OCALMY PAMIĘĆ O NICH...

PIERWSZA SZABLA Rzeczpospolitej

Wiadomo! To bohater powieści Henryka Sienkiewicza czyli pan Michał Wołodyjowski. Jak przemożna jest jednak siła wizualnego obrazu, w tym wypadku filmu, jeśli sienkiewiczowski „pan Michał” ma twarz Tadeusza Łomnickiego.

Jego odtwórca z filmu Jerzego Hoffmana „Pan Wołodyjowski” przeszedł do historii polskiej kinematografii. Oto jak wypowiadał się na temat swej roli Tadeusz Łomnicki, gdy obraz ten w latach 1967–68 powstawał.

Musiąłem przede wszystkim sprostać niełatwemu zadaniu, równie kunsztownemu władaniu szablą, jak sławny powieściowcy pierwowzór oraz nauczyć się jazdy konnej. Intensywny trening szermierczy i mordercze eskapady jeździeckie wyciskały ze mnie ostatnie poty, straciłem kilka kilogramów wagi. A uczyli mnie sztuki władania szablą nasi najznakomitsi szablści z kadry narodowej i słynni ujeżdżacze koni. Tuż przed rozpoczęciem ujęć w filmowym plenerze miałem potworną tremę, czy podołam i dorównam sienkiewiczowskiemu zabijającemu. Takiej tremy nie przeżywałem nawet przed ważną premierą w teatrze.

Nie było podstaw do obaw, bowiem Tadeusz Łomnicki pasował do postaci Michała jak nikt inny. Gdy przywdział XVII-wieczny kostium, gdy pokręcił młynka szablą, gdy pognął na koniu w step, narodził się nowy, romantyczny bohater: „Pierwsza Szabla Rzeczpospolitej”.

Sceną uwolnienia Pana Wołodyjowskiego z klasztoru Kamełulów, rozpoczęto w połowie lat sześćdziesiątych pierwszy kłaps film, barwnego, panoramicznego, z tysiącami statystów i ogromnymi szarżami wojsk konnych.

Jak pamiętamy z klasztoru zmyślnym fortelem wywabił Michała sprytny Onufry Zagłoba. Od tego momentu zaczęła się jego wielka przygoda. I wielka filmowa legenda, która utrwaliła na stałe mistrzostwo gry tego utalentowanego aktora.

„Pana Wołodyjowskiego” czytałem pierwszy raz jeszcze przed wojną – wspominał w czasie kręcenia filmu, Tadeusz Łomnicki. Już wtedy ten bohater zrobił na mnie ogromne wrażenie. „Mały rycerz” był dla mnie ucieleśnieniem wszystkich legend o kowbojach, Zorrach, Lancelotach czy Robin Hoodach. Wyobrażałem go sobie jako nieustraszonego, szlachetnego rycerza, prawego, skromnego, dzielnego dowódcę. Wtedy w mych młodzieńczych olśnieniach, marzyłem bym sam takim był. No i przyszła do mnie rola odtworzenia postaci, która była mi tak bliska w młodym wieku. I przyszła też tej roli obawa, czy podołam unieść jej ciężar. Gdy przeczytałem kilka razy scenariusz „Pana Wołodyjowskiego”, uświadomiłem sobie jak silnie ta postać jest osadzona w tle historyczno-politycznym. ►



Otwarcie
Wyd. Łalkarskiego
w Białymstoku,
PWST w Warszawie

FOT. K. SWIDERSKI

Tadeusz Łomnicki
(18.07.1927 – 22.02.1992)



Od lewej m.in.: W. Wilhelm,
K. Niesiołowski, T. Łomnicki,
J. Wilkowski, T. Faber, K. Rau

FOT. K. SWIDERSKI



T. Łomnicki, „Ostatnia taśma” S. Becketta, Teatr Studio, Warszawa, 1985 r.

Pierwsza szabla Rzeczypospolitej ▼

Jest to bohater świadomy swych celów, pełen patriotyzmu, który dobrowolnie godzi się na śmierć pod gruzami kamienieckiej twierdzy. Ten akt politycznego protestu uszanował osobiście król Sobieski, wyprawiając Wołodyjowskiemu uroczysty pogrzeb i czcząc go jako bohatera narodowego. Zrozumiałem, co mnie czeka w tym filmie.

Pracując nad rolą Tadeusz Łomnicki musiał pokonać wiele trudności. Przede wszystkim należało mistrzowsko włączyć szablę i brawurowo jeździć konno o czym była już mowa. Ale to opanowanie szabli i konia to dopiero zarys ćwiczeń i treningów. Do najtrudniejszych zadań należało opanowanie perfekcyjnie walki na szable, na koniu w pędzie. A koń nie raz poniósł aktora, a szabla nie raz wypadła z ręki podczas potyczki. A jazda konno na długich strzemionach, prawie na stojąco (bo w takiej pozycji łatwiej było siec szablą), a to znów chowanie się w pełnym galopie pod brzuchem konia (tę sztuczkę opanował również drugi sienkiewiczowski bohater Kmicic,

czyli Daniel Olbrychski)... Ileż było prób i błędów. Ileż upadków i zranień...

Ekipa filmowa dwukrotnie wyjeżdżała do ówczesnego Związku Radzieckiego w poszukiwaniu odpowiednich plenerów. Operator Jerzy Lipman wiele kilometrów przemierzył z kamerą, aby znaleźć autentyczne tereny, w których ongiś rozgrywała się akcja powieściowego Pana Michała. Niestety, nie ma już dziś Dzikich Pól i stepów Zaporozża, nie ma podolskich wąwozów i kniei. Zostały w większości zaorane i okolice zmieniły swój wygląd. Sam zamek w Kamieńcu jest taki sam jak dawniej, ale przestrzeń wokół niego już zupełnie inna, nie przypomina dawnych widoków opisanych w powieści Sienkiewicza.

Reżyser Jerzy Hoffman postanowił więc twierdzę kamieniecką wybudować dla potrzeb filmu w murach zamku w Chęcinach. Dworek w Chreptowie stał w Bieszczadach, a sceny ze stepów nad Dniestrem kręcono na polskich wrzosowiskach, gdy pokrył je śnieg.

Na terenach Związku Radzieckiego nakręcono kilka plenerów w jednym

dziś zachowanym rezerwie stepowym, znajdującym się między Chersoniem a Krymem. Tam rozegrano filmową bitwę, pochód armii tureckiej i porwanie Azji Tuhajbejowicza, (Daniel Olbrychski). Wypożyczono też z Mosfilmu oddział dżygitów tatarskich.

To był wielki sukces filmu. Nakręcono potem drugą wersję, jako serial telewizyjny pt. „Przygody Pana Michała”. Również bił on szczyty popularności, bo główni aktorzy pozostali ci sami.

A Tadeusz Łomnicki na długie lata karzył się nam jako bohaterski Michał Wołodyjowski. Stał się jednym z najbardziej popularnych i lubianych aktorów tamtych lat. I choć wcześniej miał już na koncie wiele wspaniałych kreacji aktorskich, jak choćby znaczącą rolę Stacha w głośnym swego czasu filmie, wywodzącym się z nurtu „polskiej szkoły filmowej” pt. „Pokolenie” jak również i późniejsze nie tylko w filmie, ale przede wszystkim w teatrze. Był ponadto rektorem Szkoły Aktorskiej na Miodowej, był dyrektorem Teatru Na Woli, który przysporzył mu wię-

Odeszła Wanda Gorecka, przez kilka dziesięcioleci kierownik biura Oddziału ZASP w Poznaniu.

Pamiętam dokładnie pierwsze spotkanie z panią Wandą. Poszedłem zapłacić składki do siedziby ZASP-u, na parterze poznańskiego Zamku. W dużym, reprezentacyjnym pokoju, za biurkiem siedziała wytworna pani. Przedstawiliśmy się sobie, pocałowaliśmy rękę. Rozmawialiśmy jak zwykle w takim wypadku o wszystkim i niczym. Po chwili weszła, jak się później okazało, koleżanka z opery, obie panie bardzo serdecznie się przywitały, zaczęła się wspólna rozmowa, kawa, jakieś ciasteczka i nawet nie zauważyłem, że siedzę tam półtorej godziny. Wyszliśmy ze świeżo poznaną śpiewaczką.

– Wie pan, ja do Wandy tak bardzo lubię przychodzić, że chciaabym płacić składki co tydzień!

Zdziwiło mnie to oświadczenie, dla mnie, młokosa, wydawało się pozbawione sensu. Minęło jednak niewiele czasu i zrozumiałem, że ten pomysł jest jak najbardziej słuszny. Bo pani Wanda była wyjątkową osobą w naszym środowisku, nie tylko dlatego, że nie będąc aktorką stała się członkiem ZASP-u.

Proszę sobie wyobrazić damę z manierami, jakich mogłyby jej zazdrościć przedwojenne absolwentki szkół dla panien z najlepszych domów. Zawsze wyprostowana, uśmiechnięta, o szlachetnych rysach twarzy. Jednak najpiękniejsze miała oczy, wielkie, gorejące i zwyczajnie dobre. Jestem przekonany, że szerokiego, jak się niegdyś mówiło, pańskiego gestu, mogło jej pozazdrościć wiele aktorek grających arystokratki. Nawet sposób siedzenia na krześle, trzymania nóg, świadczył o Jej wielkiej klasie i świadomości ciała. Miała też ładny, bardzo miły głos, a mówiła z lekko kresowym zaśpiewem, którego w Poznaniu ze świecą szukać. Do tego posługiwała się wykwiwną, bogatą polszczyzną, jakiej już mało kto używa.

Wanda Gorecka
(31.01.1915 – 01.11.2009)



Pani Wanda wybornie знаła się na teatrze, chodziła na wszystkie premiery, a dogłębna znajomość literatury pozwalała na delektowanie się nie akcją, lecz inscenizacją i grą aktorów. Oglądała spektakle wszędzie, gdzie tylko mogła, wiele osób z branży traktowało Ją jak dobrą znajomą.

Przy wspomnianych zaletach była niewłaściwszą osobą na swym stanowisku. Trudno sobie wyobrazić, by ktokolwiek inny mógł nas reprezentować w lepszy sposób. Wkrótce po swoim przyjęciu do ZASP-u stała się swoistym punktem kontaktowym, oazą dobra, bezpieczeństwa i dobrego słowa. Wszyscy Ją lubili, koledzy emeryci potrafili godzinami siedzieć w biurze i rozmawiać o swoich rolach, o kolegach, którzy odeszli i teatrze istniejącym już tylko w ich pamięci. Doskonale orientowała się, kto ze starszych kolegów przychodzi głównie po to, by do herbatki dostać kruche ciasteczko, bywało, że jedyny posiłek w ciągu dnia. Gdy byłem już prezesem Oddziału, sam wielokrotnie widziałem, jak wyciągała przyniesione przez siebie bułeczki, przekładała jakąś

wędliną czy serem i z miną światowca częstowała starszą koleżankę:

– Zosiu, spróbuj czy to się da zjeść, odkryłam zupełnie nowy sklep, o którym nic nie wiem...

Wtedy biegłem do bufetu piętro wyżej i przynosiłem dwa pączki.

– Zosiu, nie zechciałabyś skosztować? Podobno mają nowego dostawcę!

Z podobnie ciepłymi uczuciami przychodzili do pani Wandy także młodszy. Chwalili się sukcesami, oplakiwali porażki i to, że kolejny reżyser ich nie obsadził. Wszyscy wiedzieli, że mogą się w biurze czuć bezpieczni, a adresatka ich spowiedzi nie sprzeda tych opowieści dalej, wbrew teatralnym zwyczajom.

Przed Bożym Narodzeniem chodziliśmy z życzeniami do najstarszych członków Związku. Poza składaniem życzeń z pomocą pani Wandy wieszałem firanki, robiłem szybkie zakupy, a nawet biegłem z kotem do weterynarza. W tym czasie Ona, wykwiwna dama, często zamiatała, zmieniała pościel i wrzucała brudy do pralki.

Pracowała z nami długo, bardzo długo. Była już, choć tylko metrykalnie, naprawdę starszą panią, jak pewnego razu oświadczyła:

– Panie Andrzeju, proszę szukać kogoś na moje miejsce, odchodzę na emeryturę.

I odeszła, nie zważając na nasze ostrzeżenia i żarty, że na emeryturze się zestarzeje.

Widywaliśmy się okazjonalnie również później. Na Jej dziewięćdziesiąte urodziny poszliśmy we trójkę, z Witkiem Dębickim i Olkiem Machalicą. Nic się nie zmieniła. Dalej wyprostowana, uśmiechnięta i dowcipna podawała nam kawę i ciasteczka.

Pod sam koniec życia zamieszkała w świetnie prowadzonym domu opieki społecznej. Powoli gasła, zniesmaczona coraz większą utratą pamięci. Aż w końcu stało się i odeszła na zawsze. Kochana, dobra pani Wanda, ostatnia taka dama w naszym gronie! Za!

Andrzej Lajborek

Pierwsza szabla Rzeczypospolitej

► cej rozgoryczenia niż zaszczytów. No i grał. Ciągłe grał wspaniałe role w teatrze...

To teatr zawładnął tym rycerzem, do utraty tchu. Był spełnieniem i życiową pasją aktora. Pozostał mu wierny aż do śmierci. Zmarł bowiem na scenie w czasie prób do spektaklu Szekspira „Król Lear”

Na warszawskich Powązkach Cmentarza Wojskowego w dniu pogrzebu Tadeusza Łomnickiego była chyba cała Warszawa. Stawili się, by Go pożegnać jego wierni studenci, przybyły władze państwowe i delegacje teatralne wielu polskich miast, ekipy filmowe, aktorzy, dziennikarze, a przede wszystkim Jego

przyjaciele i zwykli ludzie, którzy Go kochali. Żegnaliśmy Go z żalem, bo odszedł od nas wielki aktor. Byliśmy świadkami Jego wspaniałych sukcesów, Jego bolesnych porażek, ale też i Jego triumfu.

Dziś pozostała nam tylko pamięć po Nim.

Alicja Wielgoławska



Maria Klejdysz
(05.03.1927 – 21.11.2009)



Była znaną i cenioną aktorką teatrów warszawskich. Żoną, niezyczącą już artysty Henryka Bąka. Urodziła się w Bogucicach. Studia aktorskie ukończyła w roku 1952 jako absolwentka Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej w Krakowie. Natura obdarzyła ją pięknymi warunkami zewnętrznymi, wrażliwością i talentem.

Natychmiast po dyplomie zaangażowana została do Teatrów Dramatycznych w Krakowie. Debiutowała na scenie Teatru im. Juliusza Słowackiego rolą Księżniczki w sztuce Lwa Tołstoja „Płody edukacji” w reżyserii swojego profesora Władysława Krzemińskiego.

Lata krakowskie to najpiękniejsze lata w jej karierze. Obfitujące w różnorodnie i znakomite role. Grała ich mnóstwo. Między innymi Wandzię w „Grubych rybach” Michała Bałuckiego, Ludwikę w „Kaukaskim kredowym kole” B. Brechta, w reży-

serii Ireny Babel, Marię „W małym domku” Tadeusza Rittnera, w reżyserii Józefa Karbowskiego, Pannę Młodą w „Weselu” i Wróżkę w „Wyzwoleniu” Stanisława Wyspiańskiego, w reżyserii Bronisława Dąbrowskiego oraz Kaśkę w „Popasie króla jegomości” Grzymały-Siedleckiego.

W roku 1961 była już w Warszawie. Najpierw w zespole Teatru Dramatycz-

nego, a potem Teatru Polskiego (1962–1982) i Teatru Narodowego (1983–1991). W czasie krótkiego pobytu w Teatrze Dramatycznym zagrała kilka ról, a wśród nich Rinę w sztuce Zorina „Czas młodości” w reż. Wandy Laskowskiej i Ksantypę w „Jaskini filozofów” Zbigniewa Herberta. Głośne Jej role z Teatru Polskiego, to między innymi Hanka w „Moralności pani Dulskiej” Gabrieli Zapolskiej, w reżyserii Romana Zawistowskiego (1962), Klara Salvador w „Rewolwerze” Aleksandra Fredry w reż. Marii Wiercińskiej, Mawra w „Martwych duszach” Gogoła, Młoda w „Klątwie” Stanisława Wyspiańskiego w reż. Jerzego Grudy, Belina w „Chorym z urojenia” Moliera i Alisa w „Celestynie” Rojas, w nowej inscenizacji i reżyserii Stanisława Różewicza (1970). W Teatrze Narodowym grała Ulitę w „Lesie” Aleksandra Ostrowskiego u Krzysztofa Chamca (1984) i w wielu sztukach reżyserowanych przez Krystynę Skuszanekę. Jej aktorstwo ciepłe i subtelne, zjednywało jej sympatię i podobało się widzowi. Kiedy przeszła na emeryturę i zamieszkała w Domu Aktora w Skolimowie, nie miała czasu, aby czuć się emerytką.

Wprost przeciwnie. Każdego dnia pojawiały się nowe propozycje. Grywała dobre, czułe, ciepłe i kochane matki, babcie, nianki i sąsiadki w licznych filmach i serialach telewizyjnych. Między innymi w „Plebani”. Występowała gościnnie w Teatrze „Polonia” u Krystyny Jandy. Jeszcze niedawno podziwiałem Ją, jako pełną uroku, wzruszającą i dobrotliwą Nianię w „Trzech siostrach” Czechowa. Wszędzie otaczana szacunkiem i sympatią. Była nie tylko świetną aktorką ale także dobrym i szlachetnym człowiekiem. Nieuleczalna choroba przerwała Jej żywot. Żegnam Ją ze smutkiem...

Witold Sadowy



„Brat naszego Boga”
K. Wojtyły,
Teatr
Narodowy,
Warszawa,
1989 r.

**Edward
Wieczorkiewicz**
(15.04.1933 – 24.01.2010)



W połowie stycznia 2010 roku, w Związku Artystów Scen Polskich spotkałem Helkę Norowicz. Powiedziała mi, że nasz wspólny kolega, z którym spędziłem lata młodości w Teatrze Klasycznym w Warszawie (dziś Studio), Edward Wieczorkiewicz jest chory i, że Jego stan zdrowia jest niepokojący. Kilka dni później, dowiedziałem się od Heleny, że Edzio nie żyje. Odszedł na zawsze pozostawiając w smutku żonę, dwoje dzieci – córkę i syna oraz trzy kochające wnuczki, a także kolegów i przyjaciół, którzy Go lubili, cenili i szanowali.

Był człowiekiem czarującym, pełnym uroku, bezkonfliktowym, znakomicie wychowanym, prawym i szlachetnym. Wspierałem kolegą i utalentowanym aktorem.

Urodził się w powiecie kaliskim, w miejscowości Dzierżbie, w niezbyt zaможnej rodzinie. Od najmłodszych lat sam przebiegał się przez życie i sam tym życiem kierował. Ambitny, uparty i pracowity ukończył szkołę podstawową, a potem gimnazjum w Kaliszu w roku 1955. Statystował w teatrze, myśląc jednocześnie o medycynie. Ostatecznie zdał egzamin do łódzkiej PWST i rozpoczął studia na wydziale aktorskim, który ukończył w roku 1958. Jego kolegami z roku byli między innymi Helena Norowicz, Jadwiga Barańska, Andrzej Kopiczyński i Andrzej Maj.

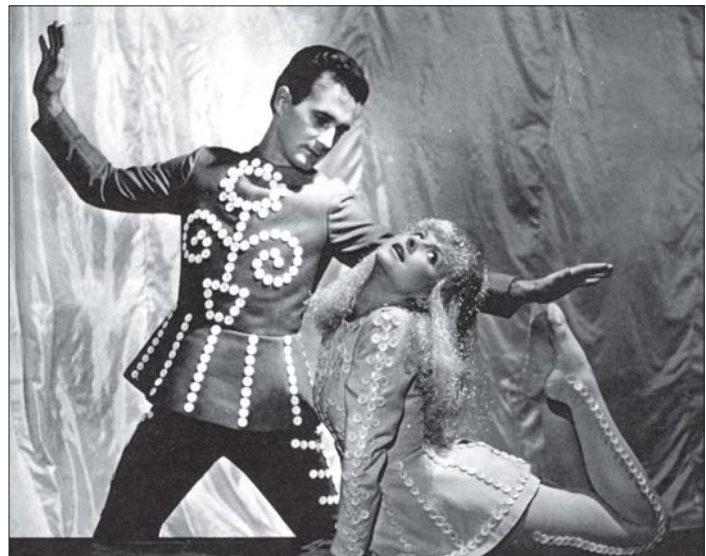
Po studiach zaangażował się do Teatru Powszechnego w Łodzi, w którym spędził jeden sezon grając w „Sprytniej wdówce” Goldoniego i w „Mieszczanach” Gorkiego, Szyszkina, w reżyserii swojego profesora Emila Chaberskiego. Z nim też oraz z Helką Norowicz i Jadzią Barańską przyjechał do Warszawy w roku 1959, kiedy Chaberski obejmował dyrekcję Teatru Klasycznego w Pałacu Kultury i Rozma-

itości (dziś Studio) przy ul. Marszałkowskiej. W teatrach tych pracował za dyrekcji Emila Chaberskiego i Jerzego Kaliszewskiego, aż do roku 1965. Sympatyczny i koleżeński szybko przyjął się w zespole, zdobywając ogólną sympatię. Grał Świadka w sztuce Fieldinga, „Sędzia w po-trzasku” w reżyserii Chaberskiego, Bandytę w szekspirowskich „Dwóch panach z Werony” w reż. Tadeusza Cyglera, gdzie po raz pierwszy spotkałem się z Nim na scenie i polubiłem Go. Zakochany w teatrze, skromny, zdyscyplinowany, odnoszący się z szacunkiem do starszych kolegów.

Po raz kolejny spotkałem się z Edziem w „Złoty rękach” Wandy Żółkiewskiej, sztuce o Wicie Stwoszu, gdzie zagrał pięknie Jacka w reż. Stanisława Bugajskiego i w „Szatanie z siódmej klasy” Kornela Makuszyńskiego, u Ireny Grywińskiej, gdzie grał gimnazjalistę, mojego kolegę, Antka

skiego, Prelegent w „Róży” Żeromskiego, u Ireny Babel i Niebieski w sztuce z pogranicza fantastyki „Wyprawa po zielony metal” w reż. Zbigniewa Sawana, gdzie jeździliśmy wszyscy na rolkach. Ostatnią rolą Wieczorkiewicza w Teatrze Klasycznym był Eugeniusz w „Wassie Żelaznej” Gorkiego z Jadwigą Chojnącką w roli tytułowej i w jej reżyserii.

W roku 1965 pożegnał się z Teatrem Klasycznym i objął stanowisko kierownika artystycznego w Zespole Estradowym Wojsk Lotniczych „Eskadra”. Sprawował tę funkcję bardzo długo, zdobywając uznanie nie tylko swoich zwierzchników, ale także publiczności. Pracując z tym zespołem odkrył w sobie nowe możliwości estradowe. Mając piękny głos, zaczął występować jako solista. Jeździł z „Eskadrą” po świecie i odnosił sukcesy. Był z delegacją Wojska Polskiego w Castel Gandolfo i został przyjęty przez Papieża Jana



„Suok dziewczyna z wozu cyrkowego”, J. Olesza, Teatr Klasyczny, Warszawa, 1965 r.

Ostrowskiego. Szczególnie ciepło wspominam tę współpracę. „Szatan” cieszył się obłędnym powodzeniem. Graliśmy go trzy razy dziennie, od rana do wieczora. Mieliśmy wtedy okazję poznać się bliżej. Następane sztuki z Jego udziałem to „Otello” Szekspira (Obywatel II), „Robin Hood” Wandy Żółkiewskiej (Znakomity Błazen), „Mój przyjaciel Kola” (Walery) w reż. Jadwigi Chojnąckiej i Sobiesław w śpiewogrze Wojciecha Bogusławskiego „Lodoiska”, w reż. Jana Kulczyńskiego.

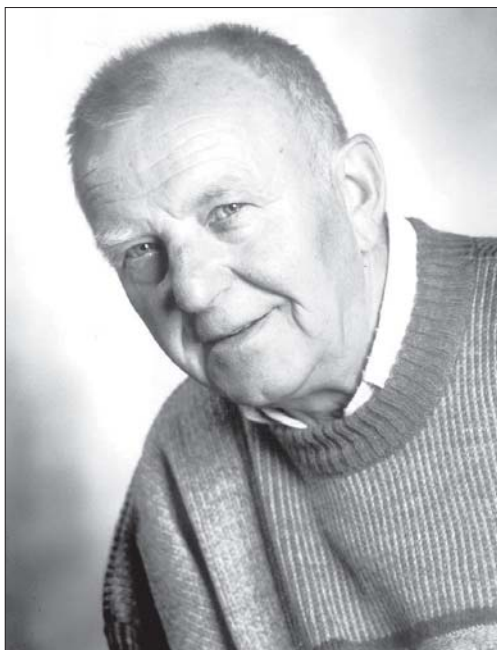
Dalsze moje spotkania z Nim na scenie, miały miejsce za dyrekcji Jerzego Kaliszewskiego w „Tymonie Ateńczyku” Szekspira w reż. Tadeusza Byrskiego, gdzie zagrał Tytusa. Dobra Jego rola to także Troilus w sztuce Giraudoux, „Wojny trojańskiej nie będzie”, w reż. Kaliszew-

Pawła II, prezentując przed Nim utwory chóralne, śpiewane a cappella. Dubbingował masę filmów, brał udział w audycjach radiowych i występował w serialach telewizyjnych. Udzielał się społecznie.

Trudno mi się pogodzić z Jego odejściem, choć ostatnio widywaliśmy się zaledwie raz na rok w ZASP-ie na koleżeńskich spotkaniach noworocznych. Zawsze elegancki, znakomicie wychowany, serdeczny i uśmiechnięty, podchodził do mnie, witał się i pytał o zdrowie, wspominając wspólnie spędzone lata w teatrze. Tego rodzaju ludzi spotyka się w życiu rzadko. Żegnaj drogi, kochany Edziu, mam nadzieję, że jeszcze Cię zobaczę, że jeszcze się spotkamy...

Witold Sadowy

Jerzy Turek
(17.01.1934 – 14.02.2010)



„Zawsze powtarzał, że o aktorze można mówić wtedy, kiedy się sprawdzi w teatrze.”

Był wybitnym aktorem charakterystycznym. Ogromnie lubianym i cenionym, o bogatym wnętrzu i głębokiej prawdzie przeżycia. Jego role dramatyczne czy komediowe, zarówno w teatrze jak i w filmie, pełne były ciepła i dobroci. Wzbudzały sympatię i zjednywały mu wielbicieli. Jego wszechstronne zdolności wykorzystano także w kabarecie „Owca” u Jerzego Dobrowolskiego.

Kiedy stawiał pierwsze kroki na scenie, żyli jeszcze najwybitniejsi aktorzy „starego teatru” – jak to się dzisiaj mówi. Od nich uczył się wszystkiego. Szanował ich i cenił. W teatrze panowała hierarchia i szacunek dla mistrzów. Droga do sławy nie była tak łatwa jak dzisiaj. Nie od razu grywało się wielkie role. Trzeba było terminować i przejść wiele, zanim trafiło się na szczyt.

Taką właśnie drogę przeszedł Jerzy Turek. Skromny, utalentowany, ambitny i pracowity. Nie zabiegał o rozgłos i sławę. Teatr był Jego pasją i żywiołem. Kochał i szanował swój zawód. Nie znosił partactwa i amatorszczyzny. Był profesjonalistą wysokiej klasy. I choć największą sławę i rozgłos, przyniosły mu filmy i seriale telewizyjne, a zwłaszcza rola dobrodusznego i sympatycznego listonosza Józefa w telenoweli „Złotopolscy”, w której od kilkunastu lat oglądaliśmy go na małym ekranie – to teatr pozostał jego największą miłością. Zawsze powtarzał, że o aktorze można mówić wtedy, kiedy się sprawdzi w teatrze. Jurek się sprawdził.

Urodził się w Tchórzowej. Studia aktorskie ukończył w roku 1958 w warszawskiej PWST. Po dyplomie zaangażował się do Teatru Ziemi Opolskiej. Debiutował na scenie rolą Rousseau w sztuce Jarosława Iwaszkiewicza „Lato w Nohant”.

Po jednym sezonie spędzonym w Opolu powrócił do Warszawy i zaangażował się do Teatru Syrena. Nie był to jednak teatr Jego marzeń. Dalsze losy związał z Teatrem Polskim (1961–1969), Narodowym (1969–1974), Rozmaitości 1974–1982) i ponownie z Narodowym (1982–1985). Od roku 1986 aż do ostatniej chwili był aktorem Teatru Kwadrat. Znaczące Jego role teatralne w Teatrze Polskim to między innymi: Patek w sztuce Jarosława Abramowa „Derby w pałacu” w reżyserii Ludwika René i Tristan w „Wędce Feniksany” Lope de Vegi w reżyserii Jerzego Grzegorzewskiego z Justyną Kreczmarową. W Teatrze Narodowym u Adama Hanuszkiewicza grał w jego głośnych przedstawieniach „Beniowski”, „Norwid”, a także Grabarza w „Hamlecie” Szekspira z Danielem Olbrychskim i głównego bohatera Józefa K. w „Procesie” Kafki.

Z Jurkiem spędziłem kilka lat w Teatrze Rozmaitości, za dyrekcji Andrzeja Jareckiego i Andrzeja Marii Marczeskiego. Był wspaniałym kolegą. Szczerym, prostym i uczynnym, o dużym poczuciu humoru. W Rozmaitościach zagrał mnóstwo znakomych ról, a wśród nich Liło w ponurym dramacie Radiczkowa „Chryja” w reżyserii Jerzego Dobrowolskiego, Człowieka w „Śnie” Kruszewskiej, Sama w „Happy end” Dorothy Lane u Olgi Lipińskiej, Grumia w „Poskromieniu złoŹnicy” Szekspira. PluszkiŹna w „Martwych duszach” Gogola w reż. Andrzeja Strzeleckiego, Króla w „Nagim królu” Szwarca, Białego Królika w „Alicji w krainie czarów” i Hetmana Rzewuskiego w „Termopilach polskich” Micińskiego. Występował w Teatrze Telewizji, w spektaklach Adama Hanuszkiewicza, Gustawa Holoubka, Zygmunta Hübnera i Jerzego Antczaka.

Nakręcił mnóstwo filmów i seriali. Na srebrnym ekranie debiutował w niewielkiej roli w filmie Andrzeja Munka „Eroica”, jeszcze jako student PWST w roku 1957. Pierwszą wielką rolę zagrał u Kazimierza Kutza w „Krzyżu Walecznych”. Inne znakomite Jego role komediowe to w „Gdzie jest generał” i „Nie lubię poniedziałku” u Tadeusza Chmielewskiego, w „Nie ma mocnych” u Sylwestra Chęcińskiego i Jarząbka w „Misiu” u Stanisława Barei.

Grał także w filmach: „Kwiecień” Witolda Lesiewicza i „Złoto” Wojciecha Jerzego Hasa, u Jerzego Passendorfera w „Janosiku”, „Czterdziestolatku” i w „Awansie”.

Wymieniłem tu tylko drobną część z Jego bogatego dorobku. Przez dwadzieścia cztery lata był w zespole Teatru Kwadrat. Teatru, do którego waliły i wałał nadal tłumy. Grał mnóstwo ról. Czuł się tam jak w rodzinie. Z Janem Kobuszewskim i Wojciechem Pokorą kończyli razem studia i razem grali na scenie. Odszedł w pełni sił twórczych, kochany i szanowany. Pokonała Go straszliwa choroba. Żegnaj Jurku. Śpij spokojnie.

Witold Sadowy

Mówi się często, że nieszczęścia chodzą parami. I to prawda... Przed kilkoma dniami pożegnał się z nami Jerzy Turek, a dziś zabrakło Witolda Skarucha. Odszedł do innego, miejmy nadzieję, lepszego świata. Ostatni raz widziałem Witka i rozmawiałem z Nim 4 grudnia 2009 roku w Domu Aktora w Skolimowie. Żegnaliśmy w tym dniu naszego kolegę i przyjaciela ks. Kazimierza Orzechowskiego, który przechodził na emeryturę, a jego miejsce przejmował po nim równie wspaniały kapelan ks. Ireneusz Stanisław Bruski. Witek wraz z ukochaną żoną, Janeczką Traczykówną i Barbarą Horawianką przyjechali na tę uroczystość, bo przyjaźnili się z Kaziem. Był im najbliższy od lat. Czytali dla niego wiersze. Nic nie wskazywało na to że Witek nas opuści.

Urodził się w Ciechanowie. Ukończył Wydział Aktorski Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej (dziś Akademia Teatralna) w Warszawie w roku 1953 wraz z Lucyną Winnicką, Ignacym Gogolewskim, Romanem Kłosowskim, Ryszardem Bacciarellim, Gustawem Kolińskim i Janiną Traczykówną, do której zapałał wielką miłością. Poślubił ją. Byli najwspanialszym, kochającym się małżeństwem.

Był to rok obfitujący w talenty aktorskie i osobowości. Opiekowali się nimi i uczyli ich mistrzowie sceny polskiej prof. Janina Romanówna i prof. Jan Kreczmar.

Pamiętam Witka doskonale z dyplomowego przedstawienia „Sen nocy letniej” Szekspira, gdzie grał Pigwę. Po dyplomie zaangażował się do Teatrów Dramatycznych w Szczecinie. Tam debiutował rolą Fantazego w dramacie Juliusza Słowackiego „Fantazy” w reżyserii Marii Straszewskiej. Po udanym debiucie zagrał jeszcze Oniegina w „Eugeniuszu Onieginie” Aleksandra Puszkina.

Po dwóch latach pobytu w szczecińskim teatrze powrócił do Warszawy. Zaangażował się do Teatru Domu Wojska Polskiego, przemianowanego wkrótce na Teatr Dramatyczny. W tym najlepszym wówczas teatrze grał mnóstwo ról w takich sztukach jak: „Tragedia optymistyczna” Wiszniewskiego (Dziobaty), „Dobry człowiek z Seczuanu” Brechta (Drugi Bóg), „Romeo i Julia” Szekspira (Benvolio), „Samotność” Słomczyńskiego (Dziennikarz) i „Szwejk” Brechta (Krótkowzroczny). A także w „Paradach” Potockiego, w „Panu Puntili i jego słudze Matti” Brechta, w „Romulusie Wielkim” Dürrenmatta i w wielu innych. **Był człowiekiem ambitnym i pracowitym, znającym swoją wartość.**

Utalentowanym, o dużej wiedzy i kulturze. Aktorstwo mu nie wystarczało. Interesowała go także reżyseria, to też wielokrotnie bywał asystentem wybitnych reżyserów. W roku 1966 ukończył wydział reżyserii przy PWST i został samodzielnym reżyserem. Reżyserował w teatrach całej Polski odnosząc sukcesy. W Łodzi reżyserował „Garść piasku” Przędzieckiego, we Wrocławiu, między innymi „Onych” Witkacego, „Drugi pokój” Herberta i „Nosorożca” Ionesco. W Starym Teatrze w Krakowie „Derby w pałacu”

Reżyserując nie rezygnował z aktorstwa. Nadal grał w teatrze, radiu, filmie i telewizji. Przez jakiś czas był aktorem Teatru Ludowego, na którego scenie grał Karola w przedstawieniu „Nowy Don Kiszot” Aleksandra Fredry, Ojca Scholasticusa w „Igraszkach z diabłem” Jana Drdy i Don Adriano de Armado w „Straconych zachodach miłości” Szekspira. Oglądaliśmy Go w licznych filmach polskich i serialach telewizyjnych. Słuchaliśmy jego głosu w audycjach Polskiego Radia. Od 2008 roku wcielał się w postać Wujka

Witold Skaruch (11.01.1930 – 17.02.2010)



Abramowa. W Teatrze Polskim w Warszawie wystawił „Onych” Witkacego, a w swoim macierzystym Teatrze Dramatycznym, z którym związany był latami, reżyserował „Jenny” Caldwell z wielką Ireną Eichlerówną. W Ludowym „Freuda teorię snów” Cwojdzńskiego, w Rozmaitościach „Dziś straszy” Agnieszki Osieckiej. W Instytucie Francuskim reżyserował przełożoną na język francuski sztukę Jarosława Iwaszkiewicza „Lato w Nohant”. Reżyserował też w POSK-u w Londynie „Kariere” Ewy Otwinowskiej. Kilka spektakli zrealizował w Teatrze Prezentacje u Romualda Szejda.

Kostka w „Matysiakach”. Grał między innymi w takich filmach jak „Celuloza”, „Pociąg”, „Pan Wołodyjowski”, „Jak być kochaną”, a ostatnio w „Jeszcze nie wieczór” oraz w serialach telewizyjnych „Czterej pancerni i pies” oraz w „Plebani”. W roku 2008 nominowano Go do nagrody „Złota Kaczka” w kategorii „najlepsza rola męska” w filmie Michała Rogalskiego „Ostatnia akcja”.

Żegnaj Witku i do zobaczenia... Opiekuj się Janeczką, Twoją ukochaną Ninką i spraw, aby dzielnie zniosła to chwilowe rozstanie.

Witold Sadowy

Bóg tańca elfem zwany

S mukły, piękny, lotny jak ptak; kiedy strzałą wypadał na scenę, promiennym uśmiechem ogarniał cały teatr. Niósł naturalną radość tańca, a jej zderzenie z okrucieństwem losu stanowiło siłę jego dramatycznych kreacji. Jako wesoły Merkurcjusz „Romea i Julii” (1957) podejmował walkę niczym przygodę i ginął nie zdążywszy zgasić uśmiechu. Jego zawodniacki pierwotnie Hilarion z desperacją szukał Giselle w krainie cieni (1968). Będąc kruchym Bibułkiem (w „Oczekiwaniu” Augustyna Blocha, 1964) czarował aż po nagłe unicestwienie. Tak zęgnął w 1999 r. największego polskiego tancerza minionego stulecia Małgorzata Komorowska („ODSZEDŁ BÓG TAŃCA”, Papageno/1999).

Taniec był wszystkim, jego drugą naturą i przeznaczeniem, stąd podporządkował mu całe swoje życie. Jego wielka sztuka była wypadkową wielu uzupełniających się elementów: zadziwiającej pracowitości, której zawdzięczał perfekcyjną technikę (w tym owe niewiarygodne skoki, podczas których dosłownie zawisał w powietrzu oraz oszałamiające, kręcone z zawrotną szybkością, piruety); niezwykłego talentu aktorskiego oraz muzyczności (potrafił dostosować się do dyrygenta!). Miał ponadto osiąganą przez nielicznych umiejętność elektryzowania publiczności samym tylko pojawieniem się na scenie.

Wielki talent 17-letniego – a zatem zbyt „starego” na rozpoczęcie nauki tańca klasycznego – chłopaka z Krakowa odkrył tuż po wojnie Leon Wójcikowski, tancerz-legenda, solista słynnego zespołu Baletów Rosyjskich Diaghilewa. „Jemu zawdzięczał wszystko. To on zrobił ze mnie Szymańskiego” – podkreślał przy każdej okazji artysta, do końca życia wdzięczny swemu mistrzowi. Po zakończeniu cyklu kursów baletowych w Krakowie Wójcikowski zabrał swego wybitnie utalentowanego pojętnego ucznia do Warszawy, z którą ten związał się tak jak z tańcem – na całe swoje życie (z przerwą na jeden sezon w Operze Poznańskiej). Życie naznaczone największymi zaszczytami, kiedy to w 1966 roku objął stanowisko Pierwszego Tancerza Baletu Teatru Wielkiego, jak i bolesnymi upokorzeniami, których mu nie oszczędzono, odsyłając



„Aida” E. Verdi,
Teatr Wielki,
1969 r.

zbyt szybko na emeryturę (mimo że tańczył lepiej niż jego dużo młodszy koledzy) i wyrzucając z garderoby, która przez 30 lat była drugim domem artysty, jego rzeczy. Podczas uroczystości 200-lecia polskiego baletu ani razu nie padło jego nazwisko... Tym samym wybitny tancerz epoki podzielił los tysięcy swoich rodaków, których jedyną winą jest wyrostanie ponad przeciętność. Polska norma...

A przecież mógł przebierać w propozycjach. Proponowano mu intratne angaże w prestiżowych zespołach baletowych Paryża, Londynu, USA. Tańczył przed ówczesnymi wielkimi tego świata, budząc ich nieklamany podziw: królową Elżbietą II, de Gaullem, Mao Tse Tungiem itp. Jego sława sięgnęła zenitu, kiedy podczas gościnnych występów Opery Warszawskiej w Festiwalu Teatr Narodów w Paryżu w 1959 r. za tytułową rolę w balecie „Mazepa” Tadeusza Szeligowskiego został uhonorowany najwyższą nagrodą krytyków francuskich: PRIX NIJINSKI (Nagroda Niżyńskiego) i propozycją funkcji Pierwszego Tancerza Baletu Opery Paryskiej. Odmówił. Powodem była polska publiczność, bez której nie funkcjonował. Ona go kochała i obdarzyła niewyczerpanym kredytem zaufania, którego nie mógł zawieść. „Wiedziałem, że żadne inne brawa, żaden inny aplauz, nie będą w stanie dać mi większej satysfakcji, jaką daje mi uznanie polskiej publiczności...” – mówił w jednym ze swoich ostatnich wywiadów, jakby tłumacząc się, że swego czasu lekkomyślnie zrezygnował z oczekującej go świetlanej światowej kariery.

Ten „elf zbłąkany wśród ludzi”, jak nazywała go krytyka, był mistrzem epizodu: wybierał dla siebie tylko te partie, które stwarzały mu możliwość wykazania się w pełni jego taneczno-aktorską finezją, które pozwalały widzom ulegać bez reszty magii jego sztuki. Szczupłość i kruchość postury powodowała, iż nie był w stanie sprostać zadaniu „obarczającemu” bohaterów tradycyjnych baletów klasycznych, tj. podnoszenia tancerek. Z jedną tylko, filigranową, liryczną, śliczną Barbarą Olkuszniak stworzył wspaniałą niezwyklej duet (m.in. balety: „Oczekiwanie”, „Samotność”).

„Skromny, unikający
rozgłosu, niezwykle
pracowity i ambitny,
opętany ideą tańca,
uczynny
i koleżeński...”

Głównie trzy role utrwaliły jego pozycję wybitnego artysty baletu: wspomniany wyżej Mazepa oraz Pietruszka i Orfeusz. Za tytułową rolę Orfeusza w balecie Igora Strawińskiego otrzymał podczas VII Festiwalu „Warszawska Jesień” – jako jedyny tancerz – przyznaną wówczas po raz pierwszy nagrodę Krytyków Muzycznych SPAM ..., „ORFEUSZ”. Z kolei tytułowa rola Pietruszki w słynnym balecie Igora Strawińskiego była jakby stworzona dla tego artysty, mógł w niej bowiem ukazać w pełni całokształt swojej sztuki: taniec, aktorstwo, rolę charakterystyczną. Nie bez znaczenia był także dla tancerza fakt, iż choreografię do tego dzieła stworzył jego mistrz, Leon Wójcikowski, który sam przeszedł do historii światowego baletu właśnie jako genialny odtwórca roli Pietruszki.

Potem była cała seria wielkich, niezapomnianych, porywających kreacji baletowych, m.in.: romantyczny Muzyk w „Symfonii fantastycznej” Berlioza, wstrząsający Merkurjo w „Romeo i Julii”, groźny Rotbart w „Jeziorze łabędzim”, oczarowany piękną nieznaną księżką w „Kopciuszkę”, przechodzący bolesną metamorfozę Hilarion w „Giselle”... czy wreszcie ten niezwykle Diabeł w „Panu Twardowskim”, szczytowe osiągnięcie tancerzkiego kunsztu (patrz „Scena” nr 2/2008). Rzadko się o tym pisze, wspominając artystę, iż jego artystyczna osobowość błyszczała już w pełni, kiedy był solistą Zespołu Pieśni i Tańca Wojska Polskiego (1952–56): żyją jeszcze ci, którzy pamiętają jego rewelacyjną kreację w tańcu z szablami z baletu „Gajane” Chaczaturiana. W jego roztańczonym życiu nie zabrakło także epizodu teatralnego: będąc już na przymusowej emeryturze, z dużymi oporami przyjął propozycję Jerzego Grzegorzewskiego, ówczesnego dyrektora warszawskiego Teatru Studio, wystąpienia w dwóch spektaklach reżysera: „La Bohème” i „Cztery komedie równoległe”, w których rolami Chochoła oraz



St. Szymański w garderobie

Tadzia (bohatera „Śmierci w Wenecji”) odwiedzającego po kilkudziesięciu latach miejsca, gdzie jako chłopiec zauroczył starzejącego się pisarza, po raz kolejny dowiódł swego aktorskiego kunsztu.

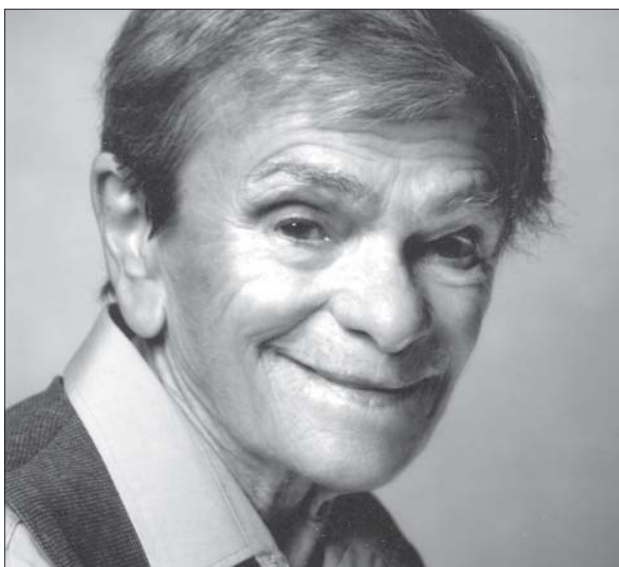
Skromny, unikający rozgłosu, niezwykle pracowity i ambitny, opętany ideą tańca, uczynny i koleżeński... można by wyliczać w nieskończoność. Tym, którzy mieli szczęście widzieć Jego ponadczasową sztukę, pozostał bolesny niedosyt: role, które tworzył, uzależniały – chciałoby się je oglądać w nieskończoność, gdyż „...*Jego taniec był zjawiskiem zupełnie niewyobrażalnym, łączącym fizyczną i duchową sferę w jedność*”. (Teresa Grabowska, „Był tylko tancerzem”, Trybuna nr 54/1999).

Elżbieta Pastecka



B. Olkuszniak i St. Szymański

Krystyna Feldman (01.03.1916 – 24.01.2007)



Znała Ją i kochała cała Polska, od dziesięcioleci była jedną z najbardziej rozpoznawalnych aktorek. Stało się tak na długo przed babcią Kiepską, choć oczywiście systematyczne pokazywanie się w serialu ostatecznie Jej niewiarygodną popularność ugruntowało. Krysia nie robiła nic, by ją zyskać, czy utrzymać, może dlatego, że przywykła do wszystkich oznak publicznego adorowania? Jego przejawy otrzymywała nawet od osób, które w teatrze raczej rzadko, albo wcale nie bywały. Kiedyś byliśmy latem w Bydgoszczy, idziemy koło piwiarni na świeżym powietrzu. Przy jakimś stoliku jeden z mężczyzn opowiadał coś pozostałym kwiecistą polszczyzną. Krysia momentalnie podeszła, uderzyła otwartą dłonią o blat stołu i mówi:

– A fe! Taki przystojny mężczyzna i takie brzydkie wyrazy mówi? Bo się pogniewam!

Struchlałem. Liczne sznyty na policzkach wskazywały na bujną przeszłość zaczeponego, który zerwał się na równe nogi i zaczął przeproszać!

– Przepraszam, pani Krysiu, już nie będę!

– No myślę! Wspięła się na palce i ku osłupieniu wszystkich, z zainteresowaniem włącznie, cmoknęła go w policzek, po czym poszliśmy dalej.

Bo Krysia taka właśnie była. Malutka, wątłutka, normalna i nigdy nie umalowana, brat-łata, a nie tam jakaś gwiazda. Chodziła w skromnych sweterkach, szarej kurteczce i zawsze w spodniach, bo tak było najwygodniej. Zwracanie na siebie uwagi, roztaczanie wdzięków, czy ciemne okulary, były dla Niej czymś niewyobrażalnym. Mieszkała w bloku, w małym, skromnym mieszkanku na parterze, „no bo po co mi duże? Wiesz, ile to trzeba się nasprzątać?! Z sąsiadami żyła w najlepszej komitywie. Na klatce każdy z nich uważał się wyróżniony, gdy mógł ją spotkać, ukłonić się i zaproponować jakąś usługę. „Nawet nie wiem jak się wymienia żarówkę, wszystko za mnie robia!” Jakiś czas temu na ścianie tego domu wmurowano tablicę, że tam mieszkała. Lodówki ani garnków nie miała. „Po co, jak nie umiem gotować?! Nigdy nie miała samochodu, tylko gdy kończyliśmy bardzo późno spektakl, wracała do domu taksówką. Na co dziei

korzystała wyłącznie z tramwajów i autobusów. „Wiecie ilu ciekawych ludzi nimi jeździ?! Rozmawiała ze wszystkimi, którzy chcieli zamienić choć kilka słów. Zawsze wybierała to samo miejsce. Gdy tylko wsiadała, miejsce natychmiast się opróżniało. Kochani tramwajarze powiesili nawet tablicę: „To jest miejsce Krystyny Feldman”.

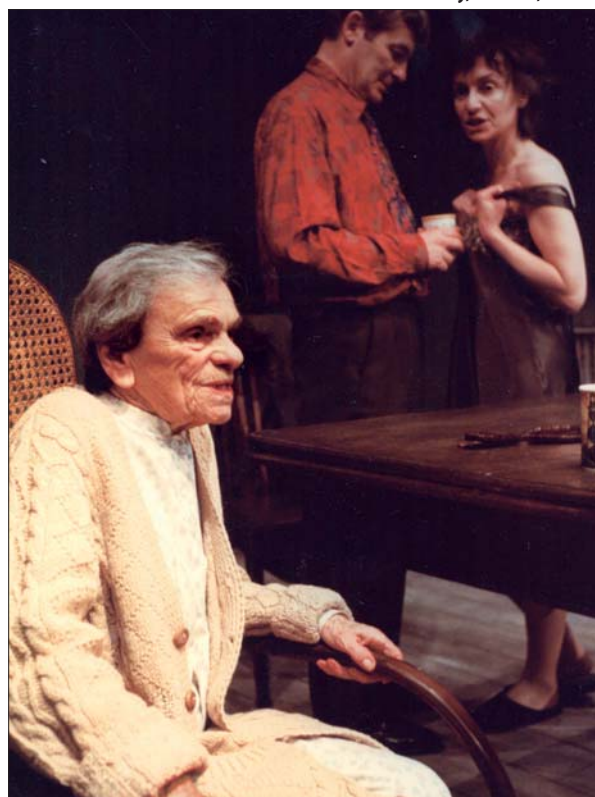
Nigdy nie chciała grać w Warszawie, choć wielokrotnie otrzymywała takie propozycje. „A co ja tam będę robiła? Miasto wielkie, gdzie ja zdążę do teatru? A bo to w Poznaniu mi źle?! W Poznaniu było Jej fantastycznie. Sporo grała, jeździła do kina, do telewizji, a poznaniacy nosili ją na rękach. Nawet dosłownie! Po jakimś deszczu, koło przejścia, niedaleko teatru zrobiła się ogromna kałuża. Podeszło dwóch chłopaków: „My panią przeniesiemy!“. I przeniesi!

Nic sobie nie robiła z wieku, zresztą z wzajemnością. Fikała koziołki na próbie, miała świetną pamięć i niepospolitą energię, która Ją czasem rozsadała. Kochała teatr i kochała ZASP. Zapiisała się do niego natychmiast, gdy spełniła wymagane warunki i nigdy go nie opuściła. Potrafiła opowiadać młodym czym był i jaki powinien być. Zawsze uważała, że ZASP obowiązkowy dla aktorów, silny i związkowy, jest jedynym remedium na słabość środowiska.

Odeszła nagle, w domu, w pół słowa. Myślę, że tak to sobie wymodliła. Żegnaliśmy Ją trzy lata temu w paskudne, styczniowe przedpołudnie, z zacinającym śniegiem i przejmującym zimnem. Mimo tego przyszły tłumy, tysiące poznaniaków, widziałem nawet wózki inwalidzkie i ludzi poruszających się o kulach. „Pani Krysi nie odprowadzić? Grzech byłby”. A jakiś czas potem króciutką uliczkę prowadzącą od ulicy do wejścia na naszą Nową Scenę nazwano „Zaułek Krystyny Feldman”. Zaczyna się Jej wielkim, uśmiechniętym zdjęciem. Bo przecież cała była takim ciepłym promyczkiem...

Andrzej Lajborek

„Królowa piękności z Leenane” McDonagh,
Teatr Nowy, Poznań, 2001 r.



Ach: gdyby nie oni...



jak maluje



jak maluje



efekt.

Pan Wojciech Weryk pracownia malarsko-modelarska,
przy malowaniu dekoracji do „Mizantropa” Moliera,
w Teatrze Powszechnym im. Jana Kochanowskiego w Radomiu.

Ach: gdyby nie oni...



Marek Lewandowski

ZASP

ZASP

ZASP